

dziej spotyka się u ludzi, mających to zrozumienie... dla siebie.

Jest to dziwne ale prawdziwe. Niech panie przypomną sobie często słyszane i prowadzone na ten temat rozmowy: chciałabym mieć w domu więcej książek, pragnęłabym, aby rozmowy były bardziej interesujące, bo mam w domu dzieci, bo się zbiera młodzież, bo to byłoby tak zapobiegło wielu innym niepotrzebnym rozmowom, bo to by dobrze wpływało na takiego lub innego. Ale jakżeż rzadko słyszy się: pragnęłabym mieć książki i pisma, bo mnie to pasjonuje, bo bez tego mnie jest duszno i ciasno i nieznośnie. I niech się panie rozglądną wokoło siebie: ileż pań domu, osób dobrej woli i trafnych pod tym względem zrozumień, robi wiele w tym kierunku wysiłków, i jak stosunkowo błahe są osiągnięte rezultaty...

Dlaczego? Bo u dna tych rzetelnych wysiłków do wytworzenia kulturalnej atmosfery domu brak rzeczy istotnej: własnych gorących w tym kierunku zainteresowań. Jeżeli pani domu chce, żeby jej domownicy mieli w bród truskawek, to musi na grządce te truskawki zasadzić i wypielegnować, nie szczędząc pracy, umiejętności i wkładów w postaci nawozów, dobrych sadzonek i t. p. Jeżeli chce, żeby w domu dla drugich, dla dzieci, dla męża, dla otoczenia panowała atmosfera kulturalna, intelektualna, to nie ma innego sposobu, jak atmosferę tę wytworzyć w laboratorium własnym, we własnym umyśle i duszy. Na to nie ma rady, te rzeczy oszukać się nie dadzą. Jeżeli piękności Pana Tadeusza będą mi w gruncie rzeczy obojętne, będą obojętne i dla otoczenia, choćbym nie wiem jak pilnie wytwarzała na ten temat akademickie dyskusje. Jeżeli natomiast właśnie wczoraj wieczorem wzruszyłam się do łez, odczytując „Wesele“, jeżeli zapomniałam o świecie, słuchając symfonii Szymanowskiego, jeżeli naprawdę „flaki mi się wywracały“ gdy czytałam rozpetaną dookoła książki Wasiułyńskiego o Koperniku dyskusję, to już nie potrzebuję się tak bardzo wysilać, nie potrzebuję się tak bardzo troszczyć o atmosferę, jaką zastaną w domu jutro w wakacje wracające dzieci. W sposób naturalny i prosty, a zatem jedynie skuteczny, wejdą w tę tak dla siebie korzystną i pożądaną atmosferę. W sposób zupełnie naturalny będą się spierać o Wyspiańskiego, bronić lub oburzać na Wasiułyńskiego. Te sprawy nie będą dla nich przedłużeniem zadań szkolnych, nudnych i suchych, będą, jak powinny być, ważną i konieczną częścią ich życia.

Ale te rzeczy, powtarzam, nie dadzą się zrobić, nie dadzą się narzucić. Albo są naprawdę, albo ich nie ma i nie będzie. Powiedział gdzieś pięknie Papini, mówiąc o pracy apostołskiej, że ogień, który już płomieni nie nieci, sam prędko gaśnie i wymiera. I odwrotność tego pięknego powiedzenia jest prawdziwa. Nie zapalą się płomienie od ogniska martwego i spopielałego. Głody pragnienia i potrzeby, które nie są głodami, pra-

gnieniami i potrzebami naszymi, nie dadzą się narzucić i zasześcić innym.

I pójdźmy w to zagadnienie jeszcze głębiej: pragnienie dla swoich dzieci wysokiej kultury umysłowej, intelektualnych zainteresowań, wrażliwości artystycznej, przyjemności i wzruszeń, jakie daje sztuka, a rezygnowanie z nich dla siebie jest nie tylko nieskuteczne, ale jest nawet rodzajem zarozumiałości, jeśli nie pychy. Bo dlaczego tych rzeczy tak słusznie dla naszych dzieci pragniemy: rozumiemy doskonale, że te wszystkie rzeczy są elementem dodatnim, że w sposób bardzo szczęśliwy wypełniają pewną wewnętrzną pustkę i próżnię tak pod każdym względem niebezpieczną, że przyczyniają się do przewyciężenia w człowieku materializmu i egoizmu, że dają pewną wewnętrzną ostoję, że są to konieczną dla równowagi kulka ołowianą u dna duszy, nie pozwalającą człowiekowi iść zbyt łatwo za „wołą wiatrów“ i ziemiennych prądów, rozumiemy przede wszystkim, że są wypełnieniem jednego z celów ludzkiego życia, „rozwoju wedle gatunku swego“, że są zgodnym z myślą Bożą, pomnażaniem powierzonych nam talentów, że są wypełnieniem wspaniałego tomistycznego określenia „plus esse“ więcej być, tego nakazu, który wkłada na nas obowiązek dać naszą pełną miarę pod każdym względem i na każdym polu, być jak najpełniej człowiekiem.

Ale jeżeli tak trafnie i słusznie rozumiemy obowiązek, potrzebę, pomoce i wysokie zadanie życia umysłowego, artystycznego i intelektualnego dla drugich, jakim prawem rezygnujemy z niego dla siebie, jeżeli jest potrzebne dla drugich, dlaczegoż jest zbędne dla nas? Jeśli inni bez niego obejść się nie mogą, jakżeż obywateli się sami? Czyż nam w życiu żadna pomoc, ostoja, środek równowagi, narzędzie rozwoju nie jest potrzebne? Czyż tylko drugich do zadań życiowych mamy wdrażać a siebie od ich wypełnienia usuwać? Czyż takie zesunięcie z siebie w imię życiowej rezygnacji jednego z wielkich obowiązków życia, obowiązku doskonalenia się na każdym polu, pod każdym względem, pełnego rozwoju swoich władz i możliwości, może dać dobre rezultaty w jakimkolwiek kierunku? Czyż u dna tego ciągle w rezygnację owijanego mniemania, że to wszystko dobre i potrzebne dla drugich a niepotrzebne dla nas, nie tkwi sui generis pycha, siostra lenistwa?

Dużo się dziś mówi o potrzebie, o konieczności kulturalnego dźwignięcia naszych dworów. O. Rostworowski na zjeździe w Częstochowie kładł na to nacisk specjalny, uważając to właśnie kulturalne i intelektualne podniesienie poziomu życia na wsi za jeden z najkonieczniejszych środków obronnych zagrożonego stanowiska polskiego ziemiaństwa. Jest to zapatrywanie zupełnie słuszne. Tylko jak to ma wyglądać? I kto to ma robić? Dla mnie nie ulega wątpliwości, że ma to robić kobieta, pani domu, matka i żona. Kobieta przez całe wieki historii ludzkości była, jak mó-